№ 19.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
REJ Z NAGŁOWIC.

ROK 1842. Poznań, dnia 14. Września.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Serb Śpiewak.

POWIEŚĆ
przez
B. P.

(Ciąg dalszy.)

7.

Tegoż dnia koło wieczora wjeżdżał w wysokie wrota podwórza rydwan czterema końmi, a w nim siedział rajca z Bolczem. Stolnik z bratem wyszli przed dom, zimno powitali gości i wprowadzili do komnaty.

Rajca zaczął mówić o interesie, który ich sprowadził, — przedstawił niesprawiedliwe uwięzienie Kuszlów, — prawo, które po upłynieniu roku i sześciu tygodniach poddanego zabrania odebrać, — nakoniec, że cała rodzina oprócz ojca w Jeżycach urodzona. Lecz daremne były jego słowa, odbierał tylko na nie cierpkie odpowiedzi i przekąsy przeciw swemu stanowi. Zniósł je cierpliwie, nie pierwszy raz przychodziło mu tak gorzkie słowa słuchać: znał, że ludzie dbający tylko o prywatę, mają serca skamieniałe na wszelką sprawiedliwość i z uśmiechem szyderczym spoglądają na ludzkość. Westchnął rajca i zasmucony prosił, żeby Basię oddano jéj narzeczonemu panu Bolczowi.

»I owszem« ozwał się na to Goliński zwracając się do Bolcza, »mój brat zezwoli na wasze małżeństwo, tylko się poddajcie.«

Twarz Bolcza blada i znękana na te słowa okryła się żywym rumieńcem, ścisnął pięście — ze wzgardą spojrzał na mówiącego, nierzekł i słowa, tylko wyszedł z komnaty, a śmiech głośny Golińskiego ścigał go aż za drzwi.

Pełen gwałtownéj rozpaczy wybiegł Bolcz na podworze, z goryczą na świat spojrzał — radby go pochwycił i zgniótł w swoich dłoniach.

Po chwili przebiegł koło niego pachołek w barwie i zręcznie mu wsunął biały płateczek. Bolcz się schował za drzewo i wyczytał na płótnie krwią pisane słowa: »O północy, mój najdroższy, bądź pod pierwszą olszą nąd brzegiem strugi.« Serce mu radośnie zakołatało, pełen radości spojrzał ku oknu — tam coś mignęło. »Więc Basia moja — na zawsze ją wyrwę z niewoli« powtarzał w myśli. Lecz wnet jak piorun przeleciało przypomnienie w jego duszy: »Basia niewystawi pozostałéj rodziny na katuszę za swoją ucieczkę.« Jego twarde mezkie rysy dziwnym smutkiem teraz się oblały — splotł ręce na piersiach, oczy podniósł ku niebu, bo z tamtąd mógł tylko sprawiedliwości wyglądać.

Tymczasem panu rajcy pozwolono zobaczyć Kuszlownę. Ledwie stanął na progu czeladnéj izby, Basi wypadła z rąk robota i już była u nóg jego, a on ją podniósł i uściskał jak własne dziecię. Potém ją żegnał krzyżem świętym mówiąc:

»Basinku! znoś cierpliwie co Bóg zsyła, widać, że taka jego najświętsza wola....«

Płacz mu przerwał dalsze słowa. Z lekka więc dziewczynę od siebie odsunął i spiesznie się oddalił. Niedługo turkot ciężkiego rydwanu zatrząsł szybami dworu.

8.

Po wieczerzy zasiadł stolnik przededworem na ławie, a przed nim stoją włódarz i podstarości z czapkami w ręku, radząc o jutrzejszéj siejbie i zaciągu, kiedy Goliński z jastrzębiem i wyżłem wracał z pola.

»Musiałem skarcić tego pohańca Serba« rzekł, »zuchwalec! powiedział mi, że szlacheckie i cygańskie słowo to równo waży.«

»Bo się też z byle kim wdajecie panie bracie« odrzekł stolnik, a potém zwrócił się do podstarościego.

»Zamknij wasze tego włóczęgę, żeby to czego złego nie zrobiło, a jutro równo ze dniem wyprowadzić za granicę i dać pamiętne na drogę.«

W dwie godziny potém, kiedy już wszyscy spoczywali, Basia cichuteńko wysunęła się ze dworu. Niezachwyciła ją piękność wieczora, jak to dawniéj bywało, choć księżyc wzbity wysoko świecił w pełni i gwiazdy jaśniały rozrucone po czystym błękicie. — Niepodniosła oczu ku niebu, obróciła się tylko z bojaźnią na wszystkie strony, a potém biegła spiesznie kwitnącym sadem. I weszła na łąkę, a jéj stopy w prędkim biegu ledwie zmiatały krople rosy zawisłe jak perły na trawie. Doszła umowionéj olszy, zatrzymała się pod nią — drobne listki przyległych krzaków zaszeleściły, a obok niéj stanął Bolcz.

Żałosne było kochanków powitanie, po śnie wesela została im boleść.

»Basiu uciekajmy« rzekł Bolcz przerywanym głosem, rajca z końmi nas czeka.«

»Mam uchodzić« odparła zdziwiona Basia — »matkę, ojca i rodzeństwo na katusze wystawić? Czyż nielepiéj tysiąc razy umierać.«

»Więc się mamy rozstać« zawołał z rozpaczą młodzieniec, i ręką opasał silnie kibić dziewczyny. »Basiu, jeżeli ty możesz być poddanką, ja będę poddanym.«

»Panie Bolczu, co gadacie« i wyrwała się z jego objęcia. »Dobrowolnie wkładać niewolę na siebie — o wtedy ja bym was przestała kochać! Gdybyście choć jednę godzinę byli poddanymi, nigdybyście tego niewyrzekli.«

»Więc uciekaj natychmiast ze mną!«

»Wyście mieli matkę i ojca i jeszcze mi to radzicie?«

»I cóż się stanie,« zawołał Bolcz z boleścią.

»Ja umrę,« odparła Basia zimno.

»A ja się mścić będę,« rzekł młodzieniec ponuro.

Psy podwórzowe zaszczekały, Basia zadrzała.

»Mnie tam może szukają.« I na ostatnie pożegnanie pocałowała narzeczonego w lica. »O! bądź zdrów, bądź zdrów na wieki.«

On wyciągnął ku niéj ramiona, ale tylko cień mignął koło niego.

W sadzie wysunął się ktoś z za drzewa i pochwycił Basię w biegu.

»Toś ty szatanie« szepnęła, »zawsze mi nieszczęście niesiesz.«

»Zgrzeszyłem, ciężko zgrzeszyłem — ale to z wielkiéj ku wam miłości,« rzekł Serb błagającym głosem. »Jestem szatanem — niemacie dla mnie przebaczenia! Słuchajcie Basiu, wyście się tam żegnali, żegnali na wieki..... Chcesz umrzeć?«

Ona się do niego przybliżyła.

»Za wszystko złe com wam zrobił« kończył Serb, »przyjmcie to jedno jako dobre z mojéj ręki« i wyjął paczkę z zanadrza.

»Tyś jest czart w ludzkiem ciele« rzekła, i przeżegnała się krzyżem świętym—lecz Serb nie zniknął.

»Zatraciłeś nasze życie doczesne, chcesz jeszcze zagubić i moje wieczne.« I chciała się wyrwać z jego ręki, ale on ją silnie trzymał.

»Basiu!« zawołał głosem proszącym. »Przez litość nad sobą samą odbierz to. — Zaprzedałem cię w niewolę, chce cię z niéj uwolnić przez śmierć.«

»Puść mię szatanie bo krzyknę« i z odrazą odwróciła głowę od niego.

Puścił ją i znów niepostrzeżona wsunęła się do dworu.

Zrana podstarości niemało hałasu narobił, kto Serba wypuścił, lecz winnego niewykrył.

9.

W kilka tygodni po przewiezieniu Kuszlów do dworu stolnika, wszedł człowiek w ubiorze ubogiego mieszczanina. W sieni powitał go pachołek, zajęty robieniem sieci i zapytał z kąd jest.

Przybyły za całą odpowiedź wyjął półarkuszowe pismo i dwoma gwoździkami przybijał je na drzwiach. A potém prosił, żeby się mógł widzieć z Basią Kuszlówną.

Ona powitała przybyłego jako znajomego — on jéj oddał list i paczkę i spiesznie wychodził.

Basia otworzywszy list łzami się zalała, poznawszy pismo rajcowéj. Przesyłała jéj słowa pociechy i razem zaklinała ją na przywiązanie, jakie do niéj miała, żeby pijała załączone ziółka, gdyż wie o jéj chorobie przez Serba. Przy tych ostatnich słowach zatrzymała się Basia, obejrzała ziółka — lecz jéj znane były, list rajcowéj powtórnie odczytała i znów go łzami skrapiała — wszystko ją przekonywało, że jéj ręką pisany.

Pan stolnik wrócił z pola, spojrzał na papier na drzwiach i zapytał pachołka czy był, jak to woźny przybijał.

»Byłem.«

»Niemógłeś go wypędzić?«

»Kiedy miał kosztur ze siekierką w ręku.«

»Łotr, pewnie mię gdzie wypatrzył na polu, dla tego wszedł śmiało.« I zaczął stolnik czytać zapozew na

wstawienie się do grodu poznańskiego, naprzeciw magistratowi miasta, o uwięzienie kmiecia Kuszla. Odczytawszy dodał jakby na zakończenie. »Zjedzą kata, czy mi go odbiorą, choćby ich dziesięciu takich półgłowków jak sędzic broniło.«

10.

Basia tylko trzy razy ziółek się napiła i dziwne rzeczy z nią się działy.

Bladła, twarz jéj nabrzękła i taki ciężar osiadł w piersiach, że ledwie mówić mogła.

Nadszedł olejkarz, nakupiono od niego białych i czerwonych proszków, wszystkie ziółka po kolei z apteczki jéjmościnéj gotowano, nic niepomogło. Pani stolnikowa serdecznie Basi żałowała, — kobiece serce w każdym czasie rozmiękcza się na widok cierpienia. Z boleśną rezygnacyą patrzyły niewiasty owych wieków na srogie obchodzenie się z poddanymi, z tém smutném przekonaniem wypływającém z ciemnoty, że to konieczne w składzie społeczeństwa.

»Pozazdrościł mi ktoś dziewczyny i zadał jéj czary,« rzekła zmartwiona stolnikowa do męża. »Na ostatnim odpuście moja rąbkowa zasłona najpiękniéj była złotem szyta, piękniéj niż saméj pani kasztelanowéj — któraś zazdrosna sąsiadka użyła czarownicy.«

Posłano więc po mądrą, która na całą okolicę miała sławę odczarowywania, żegnała sierpem — ziemię na siedmiu miejscach kopała i sypała z niéj krzyże, wszystko nic niepomogło. Nakoniec szepnęła pani do ucha: że czary przyszły od północy, gdyż się wszystko ku téj stronie kręci. Stolnikowa uwiadomiła męża i łatwo odgadli, która się sąsiadka tak przysłużyła, postanowili jéj też to wymówić przy pierwszéj nadanéj sposobności.

11.

Po kilku dniach choroby, już Basia martwa w białem czechle leżała.

W trumnie zbitéj z czterech prostych desek, wśród łkania rodziny złożono jéj zwłoki na parafialnym smętarzu. Pleban ze łzami grób poświęcał i modlitwy odmawiał.

Wszyscy Basi płakali tylko Serb stał nieporuszony przy murze kościoła. Skrzypce i kobza przy nim złożone — lica wybladłe, ręce splecione na piersiach z których się żadne westchnienie niewydobywało — suche oczy wlepił w trumnę i zdawało się, że nic niewidzi i niesłyszy.

Spuszczono w grób zwłoki, każdy rzucił garść ziemi — a Serb zawsze stał nieruchomy — wszyscy wyszli, on sam jeden pozostał. Pies spojrzał panu w oczy i żałośnie zawył.

»Piesku ty mię kochasz,« zawołał grobowym głosem, a jam otruł tego anioła — taką piękną i młodą.« I upadł na kolana. »Basiu, tyś szczęśliwa, boś w niebie — a ja żyć będę z piekłem w duszy.« Głowa mu się ku piersiom pochyliła — upadł cały na ziemię.

»Biedne Serbisko, on kochał szczerze te dziewczynę,« pomyślał klecha zamykając kościół. Przez chwilę przysłuchiwał się żalom Serba, które były w obcéj mowie; potém go podniósł i radził, żeby szedł do plebanii troszkę się posilić.

»Bóg zapłać. — Dajcie mi kawał drzewa, co zrobię krzyż na jéj grobie.« Wkrótce miał drzewo i potrzebne narzędzie.

Wyrznął na krzyżu imie zmarłéj i dzień jéj śmierci — wbił go w głowach grobowca, osłupiałym wzrokiem przez chwilę spoglądał na ukończoną pracę i wyszedł ze smętarza.

12.

Drugiéj nocy po pogrzebie Basi, zajechał przed smętarz młodzieniec. Zeskoczył z konia, obiegł w koło kościoła i zatrzymał się przy świeżym grobie. Ukląkł — napis krzyża chciał wyczytać, ale ciemno było. —

Deszcz z wiatrem szeleściał po grobowcach, jak gdyby w nich zmarli jęczeli, lecz do młodzieńca duszy bojaźń niemiała przystępu — klęczał nad grobem i powtarzał: »Tu ona spoczywa.«

Drzwi od smętarza zaskwierczały, pies się wsunął naprzód, a za nim Serb z rydlem w ręku.

»Macie kaletkę panie Bolczu, krzeszcie ogień, a ja będę kopał.«

Długo Serb pracował nim się do trumny dostał — wpuścili sznury i wydobyli ją na wierzch. Serb odbił wieko, a Bolcz latarką przyświecał i obadwaj przez chwilę w twarz zmarłéj patrzyli. Ale ręka Bolcza drzeć zaczęła — latarka upadła i światło zagasło.

Bolcz gorzko zapłakał, pochylił się nad trumną i uciął pukiel włosów zmarłéj — a Serb wyrzekł słowa jakby grożące w niezrozumiałym języku.

Wpuścili trumnę, usypali grobowiec, krzyż zatknęli i w milczeniu rozstali się z sobą.

13.

Z początkim Września rozpoczął się trybunał w Piotrkowie. Szlachta wielkopolska ukończywszy żniwa, jechała tam osobiście swoich spraw pilnować, albo oddawała je patronom.

Goliński pierwszy raz tam występował w apelacyi o uwięzienie Kuszla, a sędzic jako jego przeciwnik.

Na trybunale tak samo poszło jak w grodzie, że miasto przegrało, a sława pana Golińskiego niemało na tém zyskała, iż tak trudną sprawę (jak się wyrażono) pomyślnie przeprowadził.

Pan stolnik już się tą wiadomością cieszył, rok szczęśliwy dla niego, bo i żniwa nadzwyczaj pomyślne, zboża niepomieściły się w stodołach, trzeba było aż brogi stawiać.

Na wieczór zasiadł stolnik z podstarościm w jadalnéj izbie układając rejestra gospodarcze. W czeladnéj suty ogień palił się na kominie, a jéjmość siedząc z dziewkami nad przędziwem, wśród warczenia kołowrotków i wrzecion słuchała powiastek o upiorach i czarach setny raz jéj opowiadanych, z równą ciekawością jak kobieta naszych czasów bierze dziesiąty romans Balzaka do ręki i choć z pierwszéj karty odgadnie treść jego całą, jednak czyta do końca. Na raz dały się słyszeć na podworzu wrzaski: »Gore! stodoły się palą!« i w istocie na czterech rogach stodół ukazał się wysoki płomień.

Téjże chwili z podwórza uchodził śpiesznie jakiś człowiek przez pole, niezatrzymał się wcale, aż dopadł brzegów obszernego lasu. Wszedł między krzaki, usiadł i spokojnie patrzał w stronę ognia.

Silny wiatr roznosił płomień na wszystkie strony, zboża buchały jak wulkany, niebo osłoniło się krwawą łuną. Trzask ognia zmieszany z głosami ratujących, ich przesuwające postacie wśród płomieni, wszystko to przedstawiało obraz piekła.

A jednak dla patrzącego musiał on być miłym, bo raz po raz złożył usta jakby do uśmiechu. Długo siedział nieporuszony, choć wiatr szumiał nad jego głową, tumany kurzu przelatywały niosąc z sobą na pół przepaloną słomę — on zdawał się tylko tęsknić za kimś, coby z nim ten roskoszny widok podzielał, — a nakoniec zniecierpliwiony puścił się bitym gościńcem.

Szron okrył ziemię, wiatr północny dął, a on choć lekko przybrany jednak niedrżał — w jego duszy wrzała tak silna namiętność, że ściągnęła tam w téj chwili całe jego zewnętrzne czucie.

Pies idący przy jego nogach, wysunął się naprzód i zaszczekał, a on łatwo dojrzał czwałującego ku sobie jezdca, przy ognistych kolumnach oświecających szeroko okolicę. Przybyły zatrzymał konia i obadwaj przez chwilę spoglądali w milczeniu ku ogniowi.

»Patrzcie na ten płomień« rzekł stojący do jezdca z uśmiechem, »przy ostatnim rozstaniu przyrzekliście Basi zemstę — zgotowałem ją i wezwałem was dzisiaj żebyście się nim jak i ja cieszyli. — Wszak to roskosz! wielka roskosz!« i zaśmiał się na całe gardło. Jeździec wziął worek złota i rzucił go stojącemu.

»Serbie, weź to za twoją zemstę, bo taką się płaci złotem i wzgardą.«

Ten się cofnął i odrzekł z dumą. »Schowajcie wasze złoto panie Bolczu, nie za was się mściłem! W gwałtownéj chwili wymarzyłem zbrodnią, a oni ją spełnili — ja dziś chodzę z piekłem w duszy, kiedy oni spokojni i jeszcze mię plagami za to nagrodzili.«

Bolcz nierozumiał Serba, w milczeniu spoglądał na niego, bo w tych wybladłych licach i wzroku wybijała jakaś dzika boleść — a wśród nocy oświeconéj pożarem mimowolnie nasuwała się myśl o upiorze.

Ten uchwycił konia za cugle, a Bolcz go spiął ostrogami.

»Nieuciekajcie aż mię wysłuchacie do końca,« rzekł Serb głosem nakazującym. »Patrzcie na te płomienie! słyszycie te krzyki trwogi? Wszak to roskosz, wielka roskosz!«

Z odrazą patrzał Bolcz na okropne skrzywienie ust Serba i powtórnie usiłował wyrwać cugle z rąk jego.

»Cóż to wy mnie się już lękacie?« zawołał Serb szyderczo, »ha dobrze, więc was przestraszę!«

Po tych słowach cofnął się od konia i wyrzekł ponuro. »Jam zabójca Basi.«

»Poczwaro!« krzyknął Bolcz i zsunął się z konia, a Serb przyczepił palce do jego dłoni, twarz swoją zbliżył do jego — a ten się nie odwrócił, nie cofnął, lecz stał jakby skamieniały.

Jestem szatanem tak jak ona mię nazwała,« rzekł Serb z goryczą: »Rozerwałem jéj szczęście na ziemi bez powrotu — serce mi się krajało patrząc na jéj niewolę. — Pragnęła umrzeć, ale niemiała dosyć odwagi — do rajcowéj ziółek domieszałem trucizny i ona umarła! — wy ją kochacie pamięcią i mnie tego niewzbroniono.«

Bolcz go słuchał w ponurem milczeniu — a kiedy zamilkł, wyjął pistolet z zapasa i przyłożył do jego piersi. Serb się niecofnął, ale śmiało spoglądał w twarz młodzieńca. »Oh zabijcie! ja tego pragnę.«

Bolcza ręka opadła. »Żyj z twojém sumnieniem i mojém przekleństwem,« rzekł głosem przerażającym i razem tak gwałtownym, że Serb zadrżał i pochylił się jakby przed piorunem, który spadł na jego głowę.

Bolcz wsiadł na konia i wkrótce w gęstéj mgle zniknął, a z Serba piersi wypadł krzyk rozdzierający powietrze i pies mu swojém wyciem zawtorował.

(Dokończenie nastąpi.)

Poezya.

Za czém wzdychasz?

Mamo! ty wzdychasz za lepszym gdzieś krajem,
Mówiąc: tam będziem szczęśliwi i wolni
Żyli jak kwiatki, jak ptaszkowie polni —
I czegoż my tu zostajem?
Powiedz mi mamo kędyż takie życie,
Czy tam gdzie w polu pomarańcza rośnie,
Cały rok wiosna i lato po wiośnie?...
— Oj, nie tam dziécie!

Co może mamo, tam — jak w książce pisze:
Kędy w upały chłodek nieustanny;
Sorbety, lody — wciąż biją fontanny —
Sto dziewic do snu kołysze?
Gdzie rajskie ptaki siedzą na palm szczycie —
Perły wyrzuca na brzeg morze samo,
A rzeki złoto. — Czy tam wzdychasz mamo?....
— Oj, nie tam dziécie!

To wiém, ty wzdychasz na twoje Podole,
Za témi łany, co się kłosiem chwieją,
Za białym dworem i za tą nadzieją,
Która osładza twe bole?
Niebierz mię z sobą, tam kruków obficie
Maleńkie dziatki porywają w dzioby —
I ty tam wzdychasz do ziemi żałoby?...
— Niewzdycham dziécie!

Ale ja wzdycham za tą świętą stroną
Aby w wiosennym odżyła powiewie;
A wszystkie ptaszki na rodzinném drzewie —
Witały wiosnę wróconą.
Wtenczas już synu, niewestchnę daremno;
Będziem śród swoich szczęśliwi i wolni,
Żyli jak kwiatki, jak ptaszkowie polni —
Dziś wzdychaj zemną! —

Lucyan Siemieński.

Prelekcye Mickiewicza.

Lekcya czternasta.

KONFEDERACYA BARSKA.

Mickiewicz skreśla w krótkich rysach obraz konfederacyi barskiéj, któréj dzieje wojenne porównywa do obszernego romansu, gdzie charaktery bohaterów barskich przypominają bohaterów Iliady i rycerzy średniowiecznych. Nieulega wątpliwości, że armia rozsypana na hufce konne, które przebiegały kraj polski od Kijowa do granic pruskich i od Bałtyku do morza Czarnego; że wojna toczona na tylu punktach nie taktyką wyćwiczonych pułków, ale osobistą odwagą wsiadającéj na koń ruchawki; — że wszystko to przedstawia widok różnokolorowy i poetyczny, i dostarczać może przedmiotu dla romansopisarza. Ale właśnie dla tego historyk tu szczególniéj fantazyą swoją trzymać powinien na wodzy, ażeby się widokiem pojedyńczych wielkich obrazów, jak np. Dzierzanowskiego, Sawy, Beniowskiego, Puławskich, ułudzić niedał i pamiętał, że pisze dzieje nie romans. Trudno tu było Mickiewiczowi utrzymać zimną rozwagę dziejopisa. Poezyą wypadków przeniósł na przyczyny wypadków i patrzał się na nie przez szkło fantazyi.

Z pomiędzy monarchów ówczesnych, powiada professor, jeden sułtan Mustafa, człowiek uczciwy i pobożny chciał szczerze dopomódz Polsce, ale brakowało mu powodu do wydania wojny Rossyi, bo Rossya wypierała się wszystkiego i przekonywano nawet dywan, że wojsko do Warszawy wyprawione, niemiało innego celu, jak tylko powinszować imienin królowi. Francyi zaś tak były obce wypadki na wschodzie, że dopiero Beniowski po awanturniczéj przeprawie swojéj dostawszy się z Kamczatki do Paryża, przywiózł pierwszą dokładną wieść o wypadkach w Polsce, z prośbą o pomoc dla konfederatów. Tak gruba niewiadomość mocarstw, podana za przyczynę, dla czego wprzódy nieoświadczyły się za sprawą Polski, chyba jest licencyą poetyczną, boć znane są zabiegi konfederatów po wszystkich dworach, a przedewszystkiém w Wiedniu, w Paryżu i w Stambule.

Daléj twierdzi autor, »*że dawniéj mocarstwa wojowały i zawierały traktaty i wiedziały dla czego. Teraz zaś widzimy trzy potęgi w zmowie na państwo miane za najsłabsze i bynajmniéj nie dla zdobyczy jego kosztem, nie dla podzielenia się jego ziemią, ale z przyczyny, któréj powszechnie nierozumiano.*« — Rozebrano nareszcie Polskę, »*bo trzy mocarstwa poposzły za silniejszym pociągiem, za instynktem własnéj konserwacyi, bo czuły, że tu wśród ludów sławiańskich zabłysła nowa idea.*«

Jakże dwory połączone niemiały wiedzieć dla czego się przeciw Polsce połączyły, kiedy myśl rozbioru Polski dawno rzucona, była przedmiotem ciągłego traktowania gabinetów, a choć prawdą jest, że długi czas odpychano myśl tę, jako podszept złego i ministrowie ją odradzali, to jednak właśnie dla tego, ażeby jedno mocarstwo niepowiększyło się zaborem, coby było zepsuciem równowagi, wszystkie trzy społem działać musiały, aż zupełne osłabienie Polski myśl jéj rozbioru dojrzałą uczyniło.

Instynkt jest momentalném natchnieniem, którego w myśli wywołanéj przez samą chęć zaboru, a tak długo obrabianéj i przygotowanéj przypuścić niemożna. Czyli zaś już wtenczas w mocarstwach obudził się instynkt własnéj konserwacyi, nie w mo-

carstwach, bo i Rossya była mocarstwem słowiańskiem, a zatem reprezentantem przyszłéj idei sławiańskiéj, ale w dynastyach panujących, niemożna twierdzić. Wprawdzie dodaje Mickiewicz, w sprzeczności z tém, co dopiero wyżéj o związku mocarstw powiedział: *»że monarchowie pierwszy raz zadrzeli na widok tych garstek źle zbrojnych i niewymustrowanych i jednomyślnym popędem rzucili się gasić niebezpieczne im płomienie. Byłto wstęp do późniejszych robót w Koblentz.«* — Atoli konfederacye w Polsce od niepamiętnych czasów były w używaniu i ten sam co teraz ogólnéj ruchawki narodu przedstawiały widok. Konfederacya tyszowiecka za Jana Kaźmierza nieustępowała barskiéj. Potém konfederaci walczyli w obronie swobód narodowych, które im sąsiedne mocarstwa ukracały, ale niewypowiadali walki władzy monarszéj i w niczém nieokazywali owéj idei słowiańskiéj, którąby instynkt panujących miał przeczuwać. Z tegoto ostatniego względu późniejsze roboty w Koblentz niemają nic podobnego do sprawy obecnéj.

Mickiewicz widzi w konfederacyi barskiéj jakąś ideę, która ludźmi kieruje jako ślepemi narzędziami, którą, jak się rzekło, monarchowie instynktem pojmowali, a konfederaci sami nierozumieli. Idei téj Mickiewicz sam niewykazuje, ani jéj nawet do poznania nienacienia i dla tego wszystko dzieje się jak w omacku, ślepym, niewiednym fanatyzmem Puławskiego i ks. Marka ruszone. *»Nikt nierozumiał jaka dążność wstrząsała Polską, konfederaci sami niemieli jasnego pojęcia celu swoich usiłowań. Kiedy Puławskiemu ofiarowano amnestyą i nawet cofnięcie wojsk carowéj z granic rzeczypospolitéj, odpowiedział, że wtedy pójdzie bić Moskali w Moskwie.«* — Jestto jakieś omglenie dziejów przyszłością, jakieś fatum, którego nierozumiemy. Naszém zdaniem trudno przypuścić aby się naród na wszystkich punktach rwał do broni i niewiedział dla czego; aby mogła być wiara silna i pojęcie silne, co aż do fanatyzmu zagrzewa, bez wiedzy jasnéj i zupełnéj tego, o co chodzi. Akt konfederacyi i odezwy wypowiadają wyraźnie czego chcieli konfederaci. Odpowiedź dana Moskwie przez Puławskiego dowodzi i owszem, że aby dopiąć celu wywalczenia swobód narodowych trzeba Moskali pobić w Moskwie. Bo czyliż wyprowadzeniem wojska carowéj z granic rzeczypospolitéj byłyby wróciły naruszone swobody narodowe. Nieleżałoż już w owém samém ofiarowaniu amnestyi, nawet targanie się na niepodległą nikomu wolę udzielnego narodu? Kto z obcych miał prawo dawać amnestyą obywatelowi polskiemu, co podniósł broń w obronie narodu i z wolą narodu? Zresztą Mickiewicz dziwnie stawa z sobą w sprzeczności, kiedy na wstępie czternastéj lekcyi powiedział: *»Konfederacya w Barze podniosła broń jedynie za religią, niepodległość i wolność kraju.«*

Jest pewna lekkość w prelekcyach Mickiewicza, rzucanie wyrazów i myśli, których historycznéj prawdy trudnoby było autorowi udowodnić, na przykład uważmy następujący ustęp z tejże lekcyi:

»Z tego względu konfederacya barska zajmuje wielkie miejsce w dziejach ogólnych Europy,« — chybabyśmy sądzili, że wielkie skutki idą z wielkich przyczyn. Rozbiór Polski, który nastąpił po rozpędzeniu konfederacyi, wpłynął przeważnie na losy Europy, sama atoli konfederacya wielkie tylko zajmuje miejsce w dziejach Polski — *»dla Słowian zaś »ma jeszcze głębsze znaczenie. Zbrojne to bractwo »rozpościerając nowego ducha* (jakiego?), *zrywało »wszelkie pęta przeszłości* (w czém takiém?), *opuszczało niejako koléj historyi narodowéj* (!), *wyłamywało się z pod wszystkich przesądów stronniczych »i prowincyonalnych.* (Idea braterstwa oddawna zagniezdżona w Polsce sprowadzała te same skutki, »ile kroć łączyła część narodu w konfederacyą.) *»Trzy główne charaktery miejscowości dają się widzieć »w konfederatach. Południowi są najzuchwalsi, coś »kozackiego odzywa się w ich dowódzcach; litewscy »dbają o legalność, postępują zawsze z porządkiem »i wytrwaniem; tak zwani koroniarze, zakrawają już »na rewolucyonistów francuzkich: zaprzątnieni więcéj »środkami niż celem,* (jakże cel bez środków osiągnąć), *udają się do spisków, chcą porwać króla, »tworzą plany gwałtu, terroryzmu.«* — Czytając te wyrazy Mickiewicza zdaje się, jak gdybyśmy czytali odezwy trzech mocarstw, zaprowadzających kordony stotysięczne posunięte w głąb Polski, aby się zastrzedz od zgubnego wpływu Jakubinizmu, który się w Polsce szerzył. Niezobowiązałże się Strawiński przysięgami Kaźmierzowi Puławskiemu, że życie króla będzie zabezpieczone, że niemiał zamiaru na życie jego nastawać, bo niechce się dopuścić w dziejach polskich nieznanego przestępstwa? Gdzież to autor widzi ten terroryzm w konfederacyi, gdzie są Robespiery, Maraty? Niepostrzegł się tu szacowny wieszcz narodowy, że tu wyrzekł bardzo antinarodowe świadectwo, obwołując Polaków za terrorystów, aż zbyt znanych z łagodnego charakteru.

Co Mickiewicz pod ową ideą słowiańską rozumiał, niewypowiedział. W końcu lekcyi mówi o starożytnéj idei polskiéj. *»Ale pośród tych różnych usposobień wznosi się i bierze górę nad wszystkiémi, starożytna idea polska, idea szlachetności, poświęcenia się i zapału, która odrzuca wszelkie*

rachuby, niezważa na żadne zawady. Opuszczona naprzód przez królów, potém przez panów, podjęta przez mniejszą szlachtę, staje się ideą ogólnie narodową, odsłania całą powierzchnią kraju.« Widać i tu, że mówca niemiał jasnego wyobrażenia idei, o któréj mówi. Bo idea jest pojęcie, ale nie szlachetność albo zapał. Ideą wolności, braterstwa i t. p każdy pojmuje, ale idea poświęcenia się i zapału niedaje żadnego pojęcia. Zapewne, że za tém poświęceniem i zapałem tkwiała idea, wywołująca jedno i drugie, i tę to ideę opuścił król i panowie, ale jéj Mickiewicz niewypowiada, jakby niemiał śmiałości jéj wypowiedzenia, jednym tylko wyrazem *»starożytna«* ją dotyka. Tym wyrazem ją do idei słowiańskiéj odnosi. Była to idea gminowładna, idea wiary w massy ludu, idea wolności i braterstwa na owym pierwiastku opartych, która, jako anomalia utrzymała się w stanie szlacheckim w Polsce i w jego konfederacyach.

Kiedy tak Mickiewicz niepojął, albo niechciał pojąć idei słowiańskiéj, musiał zamącić charaktery osób, mianowicie księdza Marka i Puławskiego, których mieni wyobrazicielami idei, tak ciemno postawionéj. *»Bez ich fanatyzmu, powiada, ktożby zamierzył sobie garstkami ladajako zbrojnemi rozbić takie potęgi mocarstw sprzymierzonych?«* Gdybyśmy sobie według tego tych dwóch mężów wystawili, jako fanatyków, krzywebyśmy zupełnie o ich charakterach mieli wyobrażenie. — Idea słowiańska, o któréj mówiliśmy, przez czas zatarła się we wiedzy ludu, ale przeszła do religijnych wyobrażeń. Lud żyjący pod monarchą, musi przypuszczać wpływ Boga bezpośredni na monarchę, w nim widzi jego namiestnika. Lud gminowładny przypuszcza wpływ Boga na całą massę narodu i na każdego w szczególności. W takiém to znaczeniu i taką wiarą natchnieni byli konfederaci, a mianowicie ks. Marek i Puławski. W Bogu widzieli Boga wolności i dawnych swobód swoich, w Matce Boskiéj królową polską. Ta wiara dała im natchnienie i męstwo fanatyzmu, którego przykłady przytacza Mickiewicz. Ta wiara, bo wiara słowiańska, odezwała się w sercach żołnierzy Rossyan i nieśmieli się targnąć na życie ks. Marka, w którym się Bóg wiary słowiańskiéj objawiał.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

W zeszłym roku, — pisze jeden z naszych korrespondentów warszawskich, — byłem u mecenasa Majewskiego na imieninach żony jego, gdy śród tłumu gości ukazał się człeczek niskiego wzrostu, łysy, niepocieszném postawy — w tabaczkowéj kapotce i w nankinowych pantalonkach. — »Czy mam ścięście mówić z panem mecienasiem Majewskim« — zapytał mnie mocno szepliniącym głosem. — »Nie mości dobrodzieju,« odrzekłem, mierząc od stóp do głowy zabawną facyatę pytającego, — ale oto jest pan mecenas Majewski, gospodarz tego domu. Nie powtarzam zabawnéj między nimi rozmowy, to tylko dodam, że bez względu na wieczorną dobę i na zgromadzenie, żądał aby mecenas Majewski bez straty chwili czasu przypozwał Ziemskie Kredyty, o 130,000 kapitału i o 5 letnie procenta, przed pięciu laty bowiem namówił go pan Kozmiński, (»zieby ręce i nogi połamał«) iż kupił od żydów listy zastawne, od których przez pięć lat n i k t mu procentów nieopłaca. — Przy ścislejszém wybadaniu pokazało się, że szlachcic zgonina nieznając własności listów zastawnych, kuponów przez lat 5 nieobcinał, rozumiejąc, iż żydzi winni opłacać procenta, a że list zastawny, na podobieństwo owcy, strzydz się niedaje, bo by stracił wartość.

B i a n k a P a l l i n i. — Sławném jest miasto Bolonia z anatomii, którą tam w wielkiém mają poważaniu, a nawet kobiety przed niedawnym czasem nią się trudniły. Słynny lekarz Ruysch zapewnia, iż Włoszki posiadają szczegółową znajomość ludzkiego ciała. Jedna z tych professorek anatomii w Bolonii, Bianka Pallini, osobliwszym nabyła sposobem ogromny majątek. Było to w roku 1762., na cześć francuzkiego posła dano świetny bal w Bolonii. Orio, młody muzykant, który z innemi grał w orkiestrze, na widok murzyna posła, oddalił się potajemnie ze sali i udał się ku ciemnemu gmachowi, w którém tlało jeszcze światło. Tam składano umarłych przeznaczonych na sekcye. Orio uderzył w dłonie, a na ten odezw otworzyła drzwi gmachu młoda dziewczyna, trzymając w ręku książkę o anatomii. »Bianko!« zawołał Orio, — uciekajmy jeszcze téj nocy. Widziałem murzyna, mego nieprzyjaciela, który stara się o twoją miłość. Niewiem jakim sposobem dostał się do posła. Uciekajmy, zaklinam cię.« »Niemogę; wiesz, że jedyną jestem podporą biednéj méj matki i dla niéj tylko pracuję. I ty jesteś biedny, twój brat cię także ogołocił, zabrawszy po ojcu całą puściznę. Uciekaj sam mój Orio.«

W czasie téj rozmowy posłyszano zgiełk na ulicy, zabito człowieka. Orio wybiegł na ulicę mimo próśb Bianki i znalazł murzyna ciężko uranionego. Wydobył on ostatek sił swoich, na połknięcie przedmiotu jakiegoś lśniącego. Pochwyciła policya mło-

dzieńca, a murzyna odniesiono do teatru anatomicznego, gdzie Bianka oświadczyła, że rannego trudno uratować. Niedługo potém przybył sekretarz posła i oświadczył, iż murzyn ukradł mu diament wielkiéj wartości, który przywiózł ze sobą z Indyi, aby go oddać młodemu Orio od brata, zmarłego w Indyach wschodnich. Po zaciętéj walce udało się jemu zabić złodzieja, ale ten przed śmiercią połknął diament. Bianka postrzegła wypukłość u szyi murzyna, przecięła ją i wydobyła diament.

»Oto diament«, rzekła Bianka do sekretarza, »jestto wielki skarb, oddaj go Orii i powiedz, niech zapomni o biednéj Biance.« Sekretarz odszedł i niebawem wrócił z Orio, którego z łatwością uwolnił z więzienia. W kilka dni potém obchodzono zaślubiny Orii z Bianką Pallini. Diament był szczególniejszy i przechodził wartość milijona. Małżonkowie kupili sobie najpiękniejszy pałac w Genui i podziś dzień znajduje się na tarczy ich herbu, diament i nożyk.

P. Witwicki po długiéj chorobie wyzdrowiał już na nogi. Ma to być skutek cudów p. Towiańskiego. Szkoda, że pan Towiański niezaczyna swoich cudów od leczenia głów.

MODY. — Paryż, dn. 5. Września 1842. — Na balu pewnym w gronie wesołego towarzystwa, ujrzeliśmy wiele białych sukien z indyjskiego muślinu lub organtyny. Staniki u tych sukien były zakończone sznepką okrągłą bez przepaski. Na piérwszeństwo na tym balu zasługiwała co do ubioru, pewna panienka zaledwie szesnastoletnia. Suknia jéj biała muślinowa z krótkiemi obcisłemi rękawami niemiała żadnego przystroju, ani koronek, ani wstążek. Na szyi żadnego klejnotu, u pięknych rąk żadnéj bransoletki, na czarnych jak heban włosach ani kwiateczka, a przecie inne kobiety mniéj strojno wyglądały, chociaż starały się toaletą swoją inne przygasić.

Piękne robią także czepki bez owych przeładowań wstążkowych. U wielu żadnych języczków na lica opadających, u drugich długie barbki, ujęte na boku złotą szpilką.

Tak zwane wiedeńskie czepeczki są wyrabiane z cienkiego muślinu. Z przodu u nich garnitur dość szeroki zachodzi na czoło, na skroniach rozszerza się i kończy w rozetę na licach.

Na zwyczajne suknie wybierają szczególniéj taft włoski w drobną kratkę. Do nich gładkie staniki, bardzo obcisłe rękawy i mankietki purytańskie.

Bardzo eleganckie szale długie są siatkowe, pewne w nich połączenie jedwabiu biało-srebrzystego z niebieską wełną lub też różową. Niektóre damy zupełnie zarzuciły przepaski, inne noszą je z wstążek o długich końcach.

Ulubione są kapotki ściągane z afrykańskiego aksamitu, w kolorze lilijowym, z ukosami tegoż koloru z brukselskiego tulu.

Na zakończenie dodamy opis kilku zupełnych ubiorów.

Na rano. Suknia domowa z lilijowego kaszemiru, podszyta floransem różowym, z rękawami zakonnemi. Czepek Charlotty-Corday i bufkowa chusteczka z muślinu, Pantofle z atłasu lazurowego.

Na wyjście. Szlafroczek z cwelichu w kolorze rdzy, z jedwabnemi pasamonami na powłoce i staniku. Kryspina z kaszemiru haftowanego. Kapotka słomiana z wstążką atłasową na krzyż przełożoną. Zielony parasolik.

Toaleta na wyjście. Suknia z zielonego pekinu z białemi paskami. Płaszczyk koronkowy. Kapelusz ryżowy z długiém różowo nakrapianém piórem.

Toaleta na wieczór. Suknia z indyjskiego muślinu, lilijowo podszyta, z trzema zakładami na powłoce, między niemi haft sznurkowy w lilijowym i białym kolorze. Berta haftowana. Strój głowy z róż. Wachlarz i bukiet georgin.

Objaśnienie ryciny.

1. Kapotka z jasną wstążką. Suknia z gładkim stanikiem i peleryną kardynalską, pasamonami zdobna. Guziki świecące.
2. Żałoba. Suknia czarna kaszemirowa, orzucona dwoma szerokiemi ukosami. Czarna koronkowa peleryna, zastósowana do kroju sukni i ku kibici kończasta. Ściągany kapelusz z słaniającém się piórem.
3. Suknia jedwabna, orzucona wązkiemi ukosami. Stanik otacza berta z téjże tkaniny. Rękawy krótkie, u nich 7 stopni koronkowych. Długi szal koronkowy.
4. Kapotka z wystrojem wstążkowym i zasłoną. Pod obwodem bufki wstążek. Suknia z stanikiem na ukos ściąganym. Po powłoce opadają bufki przewiązywane. Szal z haftowaną falbaną.
5. Czepek koronkowy, kwieciem zdobny. Powłoka jedwabna z zakładami. Spencer batystowy. Rękawy długie, równe, z samych falban haftowanych ułożone.

Redaktor: *N. Kamieński.* — Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*


A. Brückner sc.